

NIE NAZYWAJ MNIE JASZCZURKĄ



NIE NAZYWAJ MNIE JASZCZURKĄ

Napisał: Jaroslav Petř

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Nareszcie mogliśmy podejść do lądowika. Jego gładkie, olśniewająco błyszczące ściany nie wskazywały, żeby przeszedł przez piekło planety Heffayr. Przez chwilę ulegliśmy złudzeniu co do solidności i niezawodności bijących zimnym blaskiem wypukłych ścian, zniekształcających odbicie naszych sylwetek i twarzy perspektywą rybich oczu. Ja, Izzard, Nakao i Guil.

Nadzieja nie trwała długo. Tylko do czasu, kiedy otworzyłem wyjście awaryjne i mogliśmy zajrzeć do wnętrza. Gdybym nie wiedział, że to, co siedzi w fotelu przed pulpitem sterowniczym, musi być Witmorem – uciekłbym. I tak musiałem walczyć z mieszaniną przerażenia i wstrętu. Najbardziej wstrząsające były jego bystre oczy, żywo reagujące na nasze ruchy i zachowu-

jące owe wesołe błyski, tak charakterystyczne dla Witmora. Po raz pierwszy pożałowałem, że uczestniczę w tym przedsięwzięciu. Ale zaraz potem zrozumiałem bezsens swojej egoistycznej litości. Jak gdyby cierpienie Witmora mogło stać się mniejsze, gdybym o nim nie wiedział i wmawiał sobie, że nie jest z nim tak źle, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Widziałem zmartwiałe z przerażenia twarze kolegów. Ostrożnie wyciągnęliśmy go na zewnątrz. Sam z pewnością nie zdawał sobie na razie sprawy ze swego stanu i ze wszystkich konsekwencji. Pierwsza oznaka okrutnego zrozumienia pojawiła się w jego oczach, kiedy zobaczył nas w ochronnych bioskafandrach. Załedwie obrzucił spojrzeniem kabinę izolatki i przygotowany ruchomy korytarz łączący luki dla lądowników ze stacją kwarantanny na naszym statku kosmicznym, zrozumiał, że jest źle. Długoletnie doświadczenie sprawiło, że od razu zdał sobie sprawę z nikłej szansy przeżycia. Spróbowałem przez szybę hełmu uśmiechnąć się do niego i nadać swemu grymasowi wyraz dodających otuchy. Musiałem wyglądać okropnie i nigdy nie przestanę siebie za to nie nawidzić. Tylko doktor Franchimont zachował spokojny, nieobecny wyraz twarzy. Skrył się za mur swych zawodowych obowiązków. Z zaciśniętymi ustami, w skupieniu, przeprowadzał pierwsze powierzchniowe badania. Zazdrościłem mu energicznych, obojętnych ruchów, z jakimi dotykał potwornie zniekształconych tkanek. Mnie na samą tylko myśl o czymś podobnym kręciło się w głowie i zaczynało szumieć w uszach. Było mi niedobrze. Ułożyliśmy Witmora w transportowej kabinie izolatki i przez dezynfekcyjny prysznic wjechaliśmy na ruchomy korytarz. Franchimont szedł obok nas małymi, szybkimi krokami i energicznie, ale bez niepotrzebnego zdenerwowania i pośpiechu, wstrzykiwał Witmorowi do żyły lek przeciwwykazeniowy. Z nieruchomej i skupionej twarzy nie można było absolutnie niczego wyczytać.

Steven zwołał naradę całej załogi. Zeszyliśmy się bez zwykłego hałasu w dużej, okrągłej kabinie narad i w milczeniu usiedliśmy wokół okrągłego stołu. Krzesło

Witmora ziało pustką. Czerwone obicie na oparciu odbijało się na tle szaroniebieskiej ściany jak krwawa plama.

– Co z nim, doktorze? – zapytał w imieniu nas wszystkich Stevens.

Franchimont nagle stracił spokój, który tak mnie zadziwiał.

Uświadomiłem sobie, że jest bezsilny. Potrafi się opanować dopóki ma pełne ręce roboty i dopóki zdaje sobie sprawę ze swego kojącego wpływu na pacjenta i na otoczenie. Teraz siedział przed nami, wyłamywał nerwowo palce i jękał się:

– Przysięgam, dowódcu, że robiąc analizę atmosfery i próbek z planety, niczego nie zaniedbałem. Wykonałem nawet testy kultur tkankowych i komórek ludzkich. Tego zwykle się nie robi nawet w przypadku bardziej niebezpiecznych planet niż Haffayr...

– Chcesz powiedzieć, że znasz coś gorszego niż to, co spotkało Witmora? Jeśli zbadałeś wszystko, co bada się na innych planetach, to w przypadku Heffayru wszystkie twoje starania okazały się guzik warte – napadł na Franchimonta drugi technik urządzeń wydobywczych, Izzard. – Teraz na kwarantannie mogłem leżeć ja albo ktoś inny.

To była prawda, ale zabrzmiała niesmacznie. Izzard chyba sobie to uświadomił, bo zamilkł w połowie tego ataku histerii.

Stevens spojrzął na Izzarda. Wiedzieliśmy, że ogarnęła go wściekłość, którą jednak w interesie utrzymania dobrych stosunków między członkami załogi stłumił w sobie. Ja do czegoś podobnego nie byłbym zdolny. Toteż nigdy nie zostaną dowódcą statku kosmicznego.

– Witmor poleciał na Heffayr dobrowolnie. Każdy z nas wie, że to jest... właściwie wydawało się być najlepszym i jedynym z możliwych rozwiązaniem.

Izzard, zrezygnowany, skulił się w fotelu i machnął ręką, co jeszcze bardziej zdenerwowało Stevensa.

– To nie jakaś tam komercyjna wyprawa dla prywatnej spóki wydobywczej ani projekt badawczy akademii nauk, żeby

można było się wycofać. Potrzebne nam fragilium? Potrzebne! Może ktoś z was zna inne oprócz Heffayru miejsce, gdzie występuje w takiej ilości? Jeżeli tak, przyznam się do błędu. Czy któryś z was miał lepszy pomysł, jak usunąć awarię w automatycznej kopalni nie wysyłając tam technika? O ile wiem i ty Izzardzie, zgłaszałeś się dobrowolnie. I Fonseca. – Stevens gwałtownie wskazał na mnie palcem. – Wszyscy byliście gotowi umrzeć w tym cyjanowodorowym kotle, bo rozumiecie... a przynajmniej mam nadzieję, że wciąż rozumiecie... że bez fragilium potrzebnego do nowego, bardziej skutecznego systemu regeneracji atmosfery nad Megapolem, w okresie najbliższego miesiąca, na skutek katastrof ekologicznych, udusi się kilkaset tysięcy ludzi. O tym wszystkim wiemy. Więc dlaczego nagle patrzycie, jakbyście o tym zapomnieli?

– Ja Witmora widziałem – powiedziało za mnie moje drugie, zupełnie obce ja. Słuchałem swego głosu wypowiadającego moje myśli i poglądy, i miałem wrażenie, jakbym nie miał z nim nic wspólnego. Jak gdybym nie był Fonsecą. – Baliśmy się wahań temperatury, zaburzeń atmosferycznych, substancji trujących, działalności wulkanów. Ale nie baliśmy się tego, czego nie znaliśmy. I właśnie to spotkało Witmora. Przedtem nie czuliśmy się bezbronni, więc byliśmy przygotowani do działania. Teraz wydaje mi się, że jestem nagi. Niech Franchimont powie wreszcie, co się stało z Witmorem.

Franchimont spojrzał na mnie, jakbym mu zadał cios poniżej pasa. Ale to nie ja. To wszystko robił Fonseca. Doktor położył ręce ze splecionymi, kościstymi palcami na stole i zaczął cicho mówić.

– Jestem pewien, że przeżyje – powiedział, a my byliśmy pewni, że nie kłamie. Mówił to, w co sam wierzył. – Wszystkie procesy życiowe w jego organizmie przebiegają dalej. Jest stale całkowicie przytomny. Może się poruszać, może mówić. – Spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni. – Myślicie pewnie o tym, w jakim był stanie kiedy wynosiliśmy go z lądownika – dodał szybko. – Ale to był szok nerwowy. Nic poza tym. Powiedziałem, że przeżyje, ale

to nie znaczy, że jestem pewien czy ten, kto przeżyje, będzie jeszcze Witmorem. W jego organizmie dochodzi do szybkiej przebudowy komórek, w szczególności ich struktury jądrowej. Według moich obserwacji inicjatorem tej przebudowy jest czynnik atakujący najpierw mitochondria i cały zespół protoplazmy, a więc pozajądrowego dziedziczenia. Być może Witmor ma teraz zupełnie obce, nowe mitochondria. To nie absurd. Ludzkie mitochondria są tylko dawno temu przystosowanymi, obcymi mikroorganizmami, bez których dzisiaj nie potrafimy się obejść, ponieważ w nich przebiega zdecydowana większość procesów energetycznych. W organizmie Witmora procesy te przebiegają nadal, ale zupełnie innymi drogami. W jego krwi, jeśli można ją tak jeszcze nazwać, nie można znaleźć podstawowych produktów przejściowych i produktów prawidłowej przemiany materii. To, co was najbardziej przeraża, to znaczy jego wygląd zewnętrzny, jest wtórnym wynikiem objawów, które właśnie w skrócie opisałem.

– Czy tego nie można zatrzymać albo chociaż zwolnić tempo? – zapytał ze ściśniętym gardłem Guil.

Franchimont pokręcił głową.

– Możemy go przecież hibernować. Na Ziemi sobie z tym poradzą! – krzyknął Guil.

– Tam też nie ma wszechmocnych. Niechętnie pozabawiam cię złudzeń, Guil, ale cofnięcie zaszytych u Witmora zmian jest ponad ludzkie siły – pokręcił znowu głową Franchimont. – Poza tym oni mają zupełnie inne smartwienia. Czekają na naszą pomoc.

Nakao pochylił się nad stołem chcąc się jak najbardziej zbliżyć do Franchimonta.

– Powiedz wprost, doktorze, czy mamy coś, co uchroniłoby następnych, którzy polecą na Heffayr?

Franchimont tym razem tylko nieznacznie pokręcił głową. Musiał się bardzo wstydzić swojej bezsilności. Na jego nadgarstku zamrugał czerwony guzik sygnalizatora. Zerwał się w popłochu.

– Muszę iść na kwarantannę, dowódcu – powiedział do Stevensona. – Witmor ma kłopoty.

Po jego wyjściu zapanowała przynębiająca cisza.

- Przypuśćmy - powiedział Nakao i widać było, że mówi z trudem i niechętnie - przypuśćmy, że z Witmorem koniec. Jak długo wytrzymał?

Znowu ta przekłeta cisza.

- Od momentu, gdy lądownik opuścił macierzysty statek i rozpoczął manewr lądowania, prawie dokładnie trzydzieści sześć godzin - usłyszałem swój głos.

- Pytam o to nie bez powodu - westchnął Nakao. - Teoretycznie istnieje jeszcze jedna możliwość naprawienia automatów wydobywczych. Każdy z nas może przepracować na Heffayrze trzydzieści sześć godzin. Nie licząc Witmora jest nas sześciu. W sumie dziewięć dni pracy. To powinno wystarczyć pod warunkiem, że będziemy się kolejno po jednym zmieniać, nikt z nas nie zmarnuje ze swego czasu ani minuty i po jego...

Nakao musiał przerwać. Z trudem przetknął i ciągnął dalej:

- Po jego śmierci natychmiast zastąpi go następny. Zakres napraw przewidzieliśmy na dziesięć dni pracy. Przypuśćmy, że uda nam się skrócić czas do tygodnia. Wtedy jeden z nas pozostałby przy życiu i mógłby wydobyte fragilium dostarczyć na Ziemię. Wystarczyłoby tylko drogą losowania ustalić kolejność... - jego głos się załamał. - Ale to niemożliwe... Mój Boże, jedyna szansa, ale nie do wykorzystania.

Nie było sensu, żeby kontynuował. Nie miał zresztą na to siły. Do realizacji tego projektu nadawałem się ja, Nakao, Izzard. Nikt inny nie znał się na maszynach wydobywczych.

- Do diabła z tą całą sławetną specjalizacją - zakląłem.

- Moglibyście wziąć pod uwagę i mnie - powiedział Stevens. - Z tymi prostymi, początkowymi pracami, powinienem sobie poradzić. Pójdę pierwszy. Dowództwo przejmie Guil.

- Chyba nie mówisz tego poważnie. I tak zabraknie nam jednego całego dnia. Wybacz, Nakao, ale twoją propozycję uważam za skrajną, desperacką, ostateczną możliwość. Nie wyobrażam sobie, że mog-

libyśmy z Franchimontem wrócić na Ziemię cali i zdrowi, gdy tymczasem wy bylibyście martwi lub przeobrazilibyście się... - mówił dysząc i z trudem dobierając właściwe słowa. - ...Kiedy zobaczyłem, jak on wygląda... że wy również bylibyście... przecież wygląda jak zwierzę!

Nienawidziłem Guila. Witmor nie jest zwierzęciem. Niewiele brakowało, a ja poleciałbym na Heffayr. Słowa Guila dotoczyły mnie.

- Nigdy nie wolno nam zapomnieć o milionach obywateli Megapola - powiedział Stevens spokojnie, jakby nie słyszał słów Guila.

- Musi być jakiś inny sposób dotarcia na Heffayr. Dla człowieka nie ma przecież rzeczy, których nie mógłby poznać czy osiągnąć. Musi być jeszcze jakieś inne wyjście - odezwał się z wymuszonym spokojem Guil.

- Nonsens, nie wierzę - zaprzeczył Izzard ruchem głowy ukrytej w dłoniach.

Czułem, jak odpowiednia chwila na to, żeby powiedzieć Guilowi szczerze, co myślałem o jego określeniu Witmora, zaczyna mi się wymykać spod kontroli. Równocześnie wiedziałem, że jeśli się nie odezwę, stracę szacunek do samego siebie.

- Witmor nie jest zwierzęciem, Guil. Każdy z nas jakoś wygląda. Witmor ma swój mózg, swoje zasady, poglądy, uczucia. Jest taki, jak każdy z nas. Jest tylko... tylko... chory...

Do kabiny wpadł Franchimont ubrany w bioskafander, po którym spływały strużki roztworu dezynfekcyjnego. Nervowymi palcami ściągał z głowy hełm. Ledwie udało mu się otworzyć hermetyczne suwaki, krzyknął do nas przez szparę zniekształcającą jego głos podobny teraz do trudno zrozumiałego skrzeczenia:

- Witmor uciekł z kwarantanny!

- Nie wiem, nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy. Według sond telemetrycznych, które podłączyłem od jego ciała do mojego laboratorium, był przy zdrowych zmysłach. Potem nagle, bez powodu, bardzo się zdenerwował.

Stevens przydzielił nam poszczególne sektory statku. Rozbiegliśmy się w poszukiwaniu Witmora.

Przechodziłem koło drzwi prowadzących do luków z ładownikami, kiedy go zobaczyłem.

- Hej, Wit, zaczekaj na mnie - krzyknąłem do niego, nawet nie wiem dlaczego. Witmor obrócił się za głosem. Miałem ochotę wrzasnąć i uciec. Z tyłu, oprócz szurkania zniekształconymi nogami i potworków garbatych pleców, nie było w jego postaci niczego odpychającego, czego nie mógłbym znieść. Na głowie widać było tylko grzywę długich, czarnych włosów, z których dawniej był taki dumny. Teraz patrzyłem mu w twarz. Od chwili, kiedy widziałem go po raz ostatni w czasie wynoszenia z ładownika, ogromnie się zmienił. To coś pożerało go szybko. Jeśli dwie godziny temu wydawał mi się straszny, nie wiem, jak opisać go teraz. Zielone łuski, żółtobrazowy śluz wyciekający z zapadłych oczodołów, zamiast nosa pionowa czerwona szczelina otwierająca się do wnętrza głowy od czoła aż po brodę pokrytą strupami, kąciki byłych ust, pełne śluzu, przecinały szczelinę jak ramiona krzyża.

- Wit, musisz wrócić na kwarantannę - próbowałem wydobyć z siebie uspokajający głos.

Pokręcił głową i głosem, który mnie swą wyrazistością zaskoczył bardziej niż jego wygląd, powiedział:

- Wracam na Heffayr. Guil miał rację, jest jeszcze jedno wyjście. Dla człowieka nie ma rzeczy niedostępnych, których nie mógłby poznać.

Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że stacja kwarantanny jest wyposażona w urządzenia umożliwiające znajdującemu się tam członkowi załogi uczestnictwo w naradach. Witmor słyszał wszystko, co zostało powiedziane w okrągłej kabinie.

- Wit, nie gniewaj się na nas. Nikt naprawdę tak nie myślał. Jesteś stale jednym z nas. Należysz do nas.

Witmor machnął pokrytą łuskami ręką, jakby nie było o czym mówić.

- Miałem na myśli zdobycie fragilium. Muszę naprawić automaty. Na Heffayrze jest piekło, którego nikt nie wytrzyma. Liczyliście na trzydzieści sześć godzin pracy, zanim spotka was to, co mnie spotkało.

Nonsens. Klimat Heffayru zabija szybciej. Ale można tam pracować nawet dziesiątki lat, jeśli się planecie zapłaci. Ja już zapłaciłem. Teraz muszę wracać. Tu za chwilę nie będę miał szansy na przeżycie. Ale Heffayr mnie przyjmie.

Patrzyłem jak otwiera drzwi wejściowe do luku z ładownikiem, którym wrócił kilka godzin temu.

- Posuń się trochę - powiedziałem do niego czując, że znowu pogodziłem się sam ze sobą, że Fonseca i ja jesteśmy jednym ciałem i jedną duszą. - Nie masz chyba zamiaru sam harować. We dwóch nie będziemy się nudzić na Heffayrze.

Przez chwilę starał się mnie wypchnąć z kabiny. Był zdecydowany znosić swój los samotnie. Co za nonsens! Już będąc chłopcami, robiliśmy wszystko razem.

Wcisnąłem się w fotel obok niego. Właz zatrasnęła się i ładownik wysliznęła się z wnętrza statku w ciemną przestrzeń. Okrążyliśmy rakieta, a potem zaczęliśmy opadać po spirali.

- Co wy wyprawiacie? - usłyszeliśmy w słuchawkach głos Stevensa.

- Przygotuj pojemniki na fragilium - odpowiedziałem i wyłączyłem nadajnik.

★ ★ ★

Staliśmy z Wittem po kolana w kałuży płynnego azotu i wdychaliśmy lodowaty wicher. Z podniesionymi głowami obserwowaliśmy zapalanie silników startowych naszego macierzystego statku na orbicie. Podrapałem się między łuskami na stopie. Dzisiaj po raz pierwszy przebywałem dłużej bez skafandra. Witmor uznał, że moja szczelina wertykalna jest już dostatecznie otwarta, więc ani amoniak, ani cyjanowódor nie powinny mi już zaszkodzić. Statek, naładowany fragilium powoli stawał się niewyraźną kropką ginącą wśród o wiele jaśniejszych gwiazd.

- Nie wolno nam trzymać się kurczowo wszystkiego, co łączy nas z Ziemią, jeśli w przyszłości chcemy poznać i zaludnić cały kosmos - powiedział nagle Witmor.

- Jesteś najmądrzejszą heffayrską jaszczurką, jaką znam - pogłaskałem go ze śmiechem po oblepionej śluzem twarzy i odskoczyłem przed bryłą suchego lodu, którą we mnie cisnął.